

Pomyłka



BIBLIOTEKA
CHRISTIANITAS

LITERATURA

Marta Kwaśnicka

Pomyłka



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:

Paweł Kula

Zdjęcie autorki na okładce:

Alicja Dybowska

Redakcja:

Aldona Ibek

Korekta:

Agnieszka Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 112/2019, Kraków, dnia 17.05.2019

† Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze: Kraków 2019

ISBN 978-83-7354-938-8

Copyright © 2019 by Marta Kwaśnicka
i Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

1. Telefon

Zwykle o poranku nie odbierałam i ci, którzy mnie znali, wiedzieli o tym. Telefon jednak brzęczał uparcie, już któryś raz w tym tygodniu. Był to aparat stacjonarny, którego numer podałam kilku osobom – rodzinie i najbliższym przyjaciołom. Ci zaś nie próbowali dzwonić tak wcześnie, bo wiedzieli, że nie podniosę słuchawki.

Od pewnego czasu byłam bezrobotna i spałam do późna. Trudno powiedzieć, co dokładnie celebrowałam, wylegując się w ten sposób: brak konieczności porannego wstawania czy może raczej poczucie, że okazałam się niepotrzebna na rynku pracy, co samo w sobie było powodem, aby w ogóle nie podnosić się z łóżka.

Doskwierało mi nieznośne poczucie przypadkowości wszystkiego, co mi się dotąd przydarzyło. Byłam jak balon wypełniony helem, który urwał się komuś i leci w niebo w nieokreślonym kierunku, w zależności od tego, skąd zawieje wiatr. Teraz wszelki ruch ustał i trzeba przyznać, że stan odrętwienia, w jakim się znalazłam, sprawiał mi dziwną przyjemność. Chodziłam na spacer, czasem czytałam. Nudziłam się, nie szukałam kolejnego zajęcia. Rodzinie, kiedy mnie pytano,

mówiłam, że zbieram siły do nowych przedsięwzięć, ale brakowało mi nie sił, tylko ochoty do robienia czegokolwiek.

Telefon dzwonił intensywnie już minionego wieczora, ale wtedy rozmawiałam z kimś innym przez komórkę. Dzwiećczał też dnia poprzedniego i wcześniej, zwykle o poranku. Tradycyjne telefony miały tę przewagę nad komórkowymi, że można ich było nie odebrać; udawać, że się wyszło z domu lub akurat z jakiegoś powodu nie mogło podejść do urządzenia. Wolałam je, bo były mniej natrętne niż ich przenośne wersje.

Tym razem aparat w pokoju dzwonił wyjątkowo długo.

W końcu odebrałam, litując się nad rozmówcą, który tak uporczywie domagał się kontaktu.

– Halo?

Po drugiej stronie nikt się nie odezwał. W tle słychać było gwar sali telewizyjnej czy świetlicy – szumiał odbiornik, brzmiały przytłumione rozmowy osób siedzących po sąsiedzku. Ktoś, kto wykręcił numer, milczał przez dłuższą chwilę. Był chyba zaskoczony faktem, że doszło do połączenia; zdążył się przyzwyczaić do daremności swoich wysiłków.

– Halo? – powtórzyłam.

– Z panem Łackim proszę.

Głos, który odezwał się w słuchawce, był bardzo słaby. Bez wątpienia należał do staruszki: łamał się, stapał z szumem otoczenia, a mimo to brzmiał nieco uroczyście, jakby rozmowa, która miała zaraz nastąpić, była niezwykle ważna.

– Bardzo mi przykro, to pomyłka. Niestety wykręciła pani zły numer.

Odpowiedziało mi krótkie sapnięcie, po którym ponownie nastąpiło milczenie. Przez chwilę słuchałam dobiegającego z oddali szumu telewizora, w końcu zaś, nie mogąc doczekać się niczego więcej, dorzuciłam „do widzenia” i rozłączyłam się.

Telefon zadzwonił znowu kolejnego poranka, a potem jeszcze raz przed południem.

– Chciałybyśmy rozmawiać z panem Łackim.

Kiedy podniosłam słuchawkę, usłyszałam energiczny głos kobiety w średnim wieku, zapewne salowej lub opiekunki. Pielęgniarki to zwykle osoby pogodne i zdecydowane, czasem niemal obcesowe, co zostawia szczególne ślady w ich intonacji. W tle brzmiał znowu gwar sali telewizyjnej lub korytarza, na którym ustawiono włączony odbiornik i gdzie widocznie znajdował się także ogólnie dostępny aparat telefoniczny. Podobne miejsca, w których można odpocząć i porozmawiać z sąsiadami lub rodziną, spotyka się często w szpitalach i domach opieki.

– Bardzo mi przykro, ale to zły numer. To niestety nie jest dom pana Łackiego.

– Przepraszam – odpowiedziała kobieta. – Zły numer! – poinformowała współczującym głosem kogoś, kto stał obok niej, zapewne znaną mi staruszkę, a następnie znowu zwróciła się do mnie: – Bardzo przepraszamy za kłopot, do widzenia.

Kolejnego dnia telefon zadzwonił ponownie.

– Czy mogłabym rozmawiać z panem Łackim?

Starsza pani, bo to jej głos usłyszałam, najwyraźniej nie do wierzała już nikomu ani niczemu; ani sobie, ani pielęgnowarce, ani szpitalnej technologii. Pechowi, który ją prześladował,

mogła przeciwstawić jedynie swój upór, dlatego próbowała dalej.

– Pomyłka, naprawdę bardzo mi przykro. Musi pani mieć niewłaściwy numer.

– Ale, wie pani, miałam wrażenie, że kilka dni temu, kiedy go wykręciłam, to on, Łacki, odezwał się.

– Może przez przypadek wykręciła pani inne cyfry? Ja niestety nie znam żadnego Łackiego.

– Bardzo panią przepraszam, do widzenia.

Potem telefon przez kilka dni milczał. Wydawało się, że staruszce udało się nawiązać połączenie z upragnioną osobą lub zrezygnowała z dalszych prób. Z czasem jednak przedpołudniowe telefony zaczęły się powtarzać, a słaby głos po drugiej stronie pytał ciągle o jedno nazwisko.

Kim był Łacki? Gdyby nieznana pacjentka szukała rozmowy z kimś przypadkowym, nie wykręcałaby ciągle tego samego szeregu cyfr; nie robiłaby tego choćby dlatego, że ja odbierałam nieregularnie i było jasne, że nie nadaję się do przelotnych pocieszeń. Nie chodziło też raczej o rutynowy telefon do najbliższej rodziny, o zwykłą pogawędkę o zdrowiu czy prośbę o odbiór ze szpitala – w takim przypadku staruszka posiadałaby dobry numer lub szybko udałoby się ustalić jego właściwą wersję i pomyłka zostałaby naprawiona. Starsza pani dzwoniła jednak uparcie, prosiła o pomoc swoją opiekunkę. Może bała się, że wykręca niewłaściwe cyfry i chciała mieć pewność, że pomiędzy nią a Łackim nie stanął brak sprawności jej palców.

Niechcący znalazłam się chyba w samym centrum czyjejs historii. Nieznana rozmówczyni była w podeszłym wieku. Co do tego nie mogłam się mylić, ponieważ głos rzadko kłamie w tej kwestii. Można wprawdzie mieć głos osoby dojrzałej, będąc jeszcze młodzieńcem, lub odwrotnie, zachować przez większość życia głos dziecka – trudno jednak mówić w ów szczególny, starczy sposób, co chwila walczyć z drzeniem dźwięku i krótkością oddechu, jeśli naprawdę nie jest się starcem. Z pewnością kobieta nie znajdowała się także w pełni sił, skoro przebywała w jakimś ośrodku zdrowia. Sprawa, z którą dzwoniła, musiała być ważna – w przeciwnym razie staruszka nie wkładałaby w nią tyle energii. Być może otrzymała mój numer po wielu staraniach i nie mogła uwierzyć, że jest niewłaściwy.

Co chciała powiedzieć Łackiemu? Pewnie były to rzeczy, które trzeba było powiedzieć wiele lat temu; może chciała mu wyjaśnić sprawy, których kiedyś wyjaśnić nie miała okazji lub czasu. Niewykluczone, że rozdzieliła ich historia – ostatecznie w Polsce w minionym stuleciu działo się tak wiele, że tragiczna historia rozdzielonych osób, kochanków albo bliskich krewnych, powtarzała się w wielu wariantach: ktoś walczył z okupantem i komuną, ktoś tego nie robił; ktoś emigrował, ktoś zostawał w kraju, a potem trudno było się odnaleźć. A przecież mogło wydarzyć się coś jeszcze innego: równie było prawdopodobne i to, że ona i Łacki zerwali ze sobą wskutek zwykłego nieporozumienia, takiego, które przydarza się ludziom mieszkającym pod każdym niebem, zarówno w czasach pokoju,

jak i wojny. Tyle razy relacje i sprawy, które mogą stać się dla nas najważniejsze, rozbijają się o szczegóły – niedopatrzienia, o chwilowy brak zapału, uwagi czy nadmiar dumy, a potem jest już zbyt późno, żeby naprawić to, co zmieniło tak wiele. Ludzkie losy są przypadkowe i różne od siebie jak numery telefonów. Czasem wystarczy pomylić się tylko odrobinę, zmienić szczegół, aby los stał się całkowicie inny: spotkać kogoś lub nie spotkać, a przez to znaleźć się nagle w odmiennej wersji swojego życia, jakby wszechświat był kalejdoskopem, a pojedyncze spotkanie lub decyzja miały moc przewracania tego kosmicznego instrumentu i uzyskiwania zupełnie innego obrazu. Wystarczy przecież wykręcić trochę inny szereg cyfr, aby usłyszeć kogoś nieznanego, mieszkającego w odległym miejscu, w każdym razie nie tym, do którego chcieliśmy się dodzwonić. Przypadek, pomyłka – i oto dwójka ludzi, którzy, jak się wydawało, mogli i powinni byli być blisko, rozeszła się. Osoba, która była do czegoś stworzona, nie podjęła swoich obowiązków, wyprowadziła się, zniknęła, została kimś innym.

Ale może nasze życie wygląda tak, jak wygląda, niezależnie od dokonywanych wyborów, bo ktoś lub coś steruje nim w określoną stronę: zawraca, jeśli zejdziemy z właściwej ścieżki, odcina niepotrzebne wątki, lub, gorzej, uparcie wypycha nas na pobocze. Może zatem niektórzy odchodzą, ponieważ muszą odejść i niepotrzebnie walczymy o to, by zostali. Może pewne spotkania nie są nam pisane. Gdyby tak było, staruszka zmagałaby się z fatum, które trzymało ją z dala od Łąckiego i byłaby to siła, z którą nie dało się wygrać.

– Halo? Czy to dom państwa Łąckich? Czy mogę rozmawiać z panem Łąckim?

– Dzień dobry. Niestety znowu dodzwoniła się pani do mnie, to pomyłka.

– Przepraszam, do widzenia.

Czasem w jej tonie pojawiała się zniecierpliwienie, ale w kolejnych dniach rytuał powtarzał się, chociaż telefony z tygodnia na tydzień stawały się coraz rzadsze i mniej natarczywe, a jej głos słabszy.

Jeśli dodzwoniłaby się w końcu do Łąckiego, co by mu powiedziała? Jak bowiem streścić komuś w rozmowie długie lata oddzielenia? Jak opowiedzieć wszystko, co się wydarzyło, chociaż nie powinno było się wydarzyć i jak wyrazić żal za tym, co mogło powstać w międzyczasie, ale nie powstało? To przecież niemożliwe: życie toczy się swoim rytmem. Wobec pojedynczego człowieka i jego rozterek jest obojętne jak spłoszone zwierzę, rozpędzone i bezrefleksyjne. Stawanie mu na drodze jest ryzykowne, wręcz lekkomyślne. Jeśli zatem starszce zdarzały się chwile tęsknoty za czymś niekreślonym, za inną wersją siebie, i jeśli miewała poczucie, że znajduje się nie na swoim miejscu, to musiała pogodzić się z tym, że coś – zapewne los – pchnęło ją w obce rejony i tam właśnie na długie lata musiała się zadomowić. Musiałaby powiedzieć Łąckiemu, że czasami – na ogół – wcale o nim nie myślała, bo zajmowała się bieżącymi troskami. Ostatecznie nic nie angażuje tak jak codzienność, nawet jeśli wypełniają ją obowiązki, których się nie lubi. Staruszka, jaką się stała, na pewno była kimś innym

niż kobieta, którą znał przed laty. Nabrała – bo musiała nabrać – nowych przyzwyczajzeń i odruchów, złagodniała albo, przeciwnie, stała się bardziej zacięta. To, co ich łączyło, pokrewieństwo czy uczucie – a może jedno i drugie, bo przecież nie mogłam wykluczyć, że to matka próbowała dodzwonić się do syna, który zniknął z jej życia – z konieczności musiałoby być teraz czymś innym. Wiele zdarzeń i wzruszeń przepadło bezpowrotnie.

Ale równie prawdopodobne było i to, że wcale nie chodziło o miłość, pojednanie czy wyjaśnienia. Być może staruszka chciała przypomnieć sobie to czy owo, pouklądać w głowie zdarzenia z przeszłości albo załatwić jakąś błahą sprawę, która wyjątkowo ją dręczyła. Nie dało się wykluczyć, że zajmowały ją inne rzeczy niż mnie, a do wielkiej rangi urastały problemy, które ja uznałabym za drobnostki.

– Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z panem Łackim?

Bardzo chciałabym pani pomóc, ale nie znam nikogo o podobnym nazwisku. To pomyłka. Prawdopodobnie nigdy nie połączy się pani z tym abonentem, jeśli mój numer jest jedynym, jaki pani zna. Nawet jeśli różni się od właściwego pojedynczą cyfrą, dzieli panią od Łackiego przepaść. Gdybym wiedziała, gdzie się pani znajduje, mogłabym wykręcać numer razem z panią, zmieniać go za każdym razem i pytać – o ile ktoś po drugiej stronie odbierze – czy dodzwoniłam się do upragnionej przez panią osoby. Tylko że mój numer może być zupełnie niewłaściwy, może różnić się od docelowego kilkoma albo wszystkimi cyframi, a to drastycznie zwiększyłoby ilość

możliwych kombinacji. Nie wiem nawet, skąd pani dzwoni i kim pani jest. Czy pani w ogóle jest z Krakowa? A może, jak to się zdarza czasem starszym osobom, wymyśliła pani sobie jakiegoś Łąckiego? Może nie istniał i tylko starczy upór kazał pani w kółko wykręcać mój numer? Może cyfry się pani uroiły? Nie wiem, jak przynieść pani ulgę. Pytanie o szczegóły byłoby chyba niewłaściwe. Pewnie i tak nie chciałaby pani opowiadać swojej historii nieznanemu kobiecie. Ostatecznie kim jestem, aby oferować swoją pomoc? Zaledwie obcym głosem; osobą, która niezbyt lubi rozmawiać przez telefon, ale teraz niepotrzebnie trzyma panią na linii, snując w duchu dziwaczne rozważania. Sama zresztą mogłabym opowiedzieć to i owo, zadać pytania, na które nie znam odpowiedzi. Niewykluczone, że właśnie pani pomogłaby mi wyjaśnić, co właściwie poszło nam obu nie tak. Tylko czy w ogóle dywagacje na podobny temat mają sens?

– Niestety to znowu pomyłka.

Odpowiedziało mi milczenie. Czekałam dłuższą chwilę, nasłuchując oddechu tamtej.

– Pomyłka – powtórzyłam cicho.

Staruszka chciała pewnie zareagować, odezwać się, zmitygować, jak robiła poprzednio, ale nie czyniła tego, jakby mówienie nagle utraciło dla niej jakąkolwiek wartość. W tle brzęczał telewizor, słychać było przytłumione głosy, ale ona nie mówiła nic.

Ponieważ milczenie z drugiej strony się przedłużało, odłożyłam słuchawkę.

2. Granice ekspresji

Siedziałam tyłem do Trasy W-Z, która tuż za mną wypadła spod ziemi i biegła w stronę Wisły. W ten sposób, opierając się o balustradę, mogłam ogarniać wzrokiem wszystko: fasady kamienic u wylotu Krakowskiego Przedmieścia, kolumnę Zygmunta, fragment murów otaczających Starówkę, pierzeję budynków przy Placu Zamkowym, wreszcie, odwracając głowę, sam zamek. Chłonełam ten widok, bo od wielu lat należał do moich ulubionych. Uwielbiałam zwłaszcza spiętrzenie kamieniczek przy Placu z charakterystyczną, łamaną linią dachów, zza której wyłaniał się szczyt archikatedry. Wyglądały jak sterta pudełek, które ktoś przypadkiem porzucił w tym miejscu, nie dbając o to, jak się ułożą. Pozorna nieporadność architektoniczna warszawskiej Starówki rozczulała mnie odkąd sięgałam pamięcią, wtedy zaś pogoda była wyjątkowo piękna, słońce wydobywało z murów głębokie odcienie i pozwalało nie dostrzegać brudu. Dachówki były rdzawe, jakby wymieniono je dzień wcześniej, a fasady kolorowe jak na pocztówkach, ja zaś siedziałam nad Trasą W-Z, ciesząc się ich urodą. Tak wyglądała Warszawa, której doświadczałam, mając dziewiętnaście lat.

Właśnie dostałam się na tamtejszy uniwersytet. Rozpie-
rała mnie duma. Mogłam wybierać pomiędzy Warszawą i Kra-
kowie, pomiędzy najlepszymi wówczas polskimi uczelniami
(tydzień wcześniej przyjęto mnie na studia również w tym
drugim mieście). Żaden ranking nie precyzował dokładnie,
który z uniwersytetów był lepszy, krakowski czy stołeczny,
wiadomo było natomiast, że oba pod różnymi względami dy-
stansowały pozostałe. Rodzice od pewnego czasu zbierali in-
formacje. Było już jasne, że – jak zapewniały ich znajome, owe
charakterystyczne ciotki starej daty, które wiedzą wszystko na
każdy temat – w Warszawie poznam odpowiednio wpływo-
wych ludzi i zrobię większą lub mniejszą karierę, bo zawsze
było tam wiele instytucji, przy których można się „zahaczyć”.
Było też wiadomo, że w Krakowie zakosztuję smaku prawdzi-
wego studiowania i doświadczę klimatu starego uniwersytec-
kiego ośrodka; klimatu, który w stolicy dawno się zatracił – czy
też może raczej w ogóle się nie wytworzył, bo stołeczne uniwer-
sytety zwykle muszą się zmagać z miastem, w jakim się znaj-
dują. Tam się nie studiuje, tam się odpowiada na zapotrzebo-
wanie historii, administracji i licznych centralnych instytucji.

To, co zamierzałam studiować, było drugorzędne i tym
nikt, od kiedy pamiętam, nie zawracał sobie głowy. Chodziło
jedynie o zdobycie dyplomu, a najlepiej dwóch, bo bez tego, co
powtarzano mi od dziecka, nie mogłabym stać się w pełni sobą.
Było jasne, że tylko na wyższej uczelni przeżywa się przygody
i tam w pełni poznaje się swoje możliwości. Ważne było jednak
to, żeby kierunek, na który się zdecyduję, był odpowiednio

oblegany. Im więcej kandydatów starało się o jedno miejsce, tym lepiej; tym bardziej podziwiał się studenta w jego rodzinnych stronach, jakby o wartości wykształcenia decydował chwilowy popyt, jakim dana specjalność cieszyła się wśród nastolatków. Gdybym zaś dostała się na studia w różnych miejscach i dopiero wtedy, wybierając najbardziej drogocenną zdobycz z kosza pełnego trofeów, podejmowała ostateczną decyzję o kierunku kształcenia – wówczas dowiodłabym swojej niezwykłości. Potem wszystko musiałyby się już ułożyć.

– Z dyplomem na pewno znajdziesz pracę – mówiono mi.
– Chodzi w zasadzie o dowód, że udało ci się doprowadzić do końca coś tak skomplikowanego jak studia.

Była to stara historia prowincjusza wysyłanego na studia do wielkiego miasta: dziecka hodowanego mniej lub bardziej troskliwie dla chwili, kiedy będzie mogło podjąć naukę z dala od domu, najlepiej w jednym z głównych ośrodków akademickich. Prowincjusze tego typu w szkołach średnich czas spędzają raczej nieuważnie, odliczając minuty do upragnionego wyjazdu – bo dopiero ów wyjazd stanowi ich właściwe narodziny, ich debiut, wypełnienie obowiązku wobec rodziny, w której od co najmniej dwóch pokoleń wszyscy posiadali tytuły magistrów i w wykształceniu upatrywali gwarancji na przyszłość. Każda rodzina bywa próżna na jakimś punkcie; w mojej hołubiono prymusów. Nie wyobrażano sobie, żeby rzeczywistość mogła okazać się dla nich niegościnna.

Teraz, wygrzewając się w popołudniowym słońcu na warszawskiej Starówce, rozkoszowałam się udaną inauguracją do-

rosłości, co z pewnością dodawało uroku warszawskim kamienicom. Spełniłam oczekiwania. Czekano mnie pięć lub sześć najpiękniejszych lat mojego życia, jakimi ponoć miał być czas studiów. Dzielił mnie od nich już tylko ostateczny wybór miasta – i ta decyzja była ważka jak zamążpójście.

Kraków od dawna stanowił cel moich wycieczek, ponieważ zakładano, że będę studiować właśnie tam. Jeśli zaś chodzi o Warszawę, to egzaminy wstępne były zwieńczeniem wielkiego młodzieńczego uczucia.

W stolicy bywałam wiele razy jako dziecko, przejazdem lub na kilka dni, czemu sprzyjało życie towarzyskie matki. Były to jednak krótkie wizyty. Jak przez mgłę pamiętałam jedynie zamieszki pod Salą Kongresową, milicyjne suki, transparenty, na których powypisywano „precz z komuną”, barierki i matkę odciągającą mnie za rękę od krzyczących ludzi. Z Warszawą kojarzyły mi się także stare kamienice niedaleko stacji kolejowej Włochy, ponieważ tam zdarzało nam się nocować, wreszcie duszne, przegrzane budynki stołecznego Uniwersytetu, które czasem odwiedzałyśmy. To było jednak zdecydowanie zbyt mało, żeby pomiędzy mną i miastem wytworzyła się jakakolwiek więź. Warszawa, którą odwiedzałam jako dziewczynka, należała jeszcze do mojej matki, a ona, chociaż miała w stolicy wielu znajomych, nie darzyła tego miasta specjalną estymą.

Stolica oczarowała mnie dopiero później, kiedy – już jako nastolatka – zaczęłam podróżować samotnie i mogłam poznawać miasto na własną rękę. Przez pewien czas wydawało

się, że na studia wyjadę właśnie tam, Warszawę pokochałam bowiem uczuciem świeżym i obsesyjnym, takim, na jakie stać jedynie żółtodzioba. Licealiści pochłaniają obiekty swojej miłości łapczywie i bezrefleksyjnie. Młodzieńcze uczucia nie muszą być niczym uzasadnione, nic też nie musi ich poprzedzać. Któregoś dnia młody człowiek budzi się i wie, że jest zakochany; że coś w jego duszy, czego istnienie do tej pory jedynie przeczuwał lub o czym w ogóle nie wiedział, obudziło się i kategorycznie żąda realizacji. Zauroczony stara się zatem wynajdować sposoby celebrowania swoich uczuć, ale te, które znajduje, okazują się sztamkowe i są niemal w całości podpatrzane u innych. Namiętność nastolatka to zimny, trawiący płomień; brakuje w nim jeszcze ciepła, bo czułość jest domieszką dojrzałej miłości. Później już się nie kocha tak gwałtownie lub robi się to wyjątkowo. Emocje, tak jak ludzie, z czasem uspokajają się, dojrzewają, bywa, że leniwieją. Wcześniej jednak, w tym krótkim prześwicie, jakim jest dojrzewanie, wszystko jest pełne, wyczerpujące; obsesja na plus, obsesja na minus. Kocham – nienawidzę. Podziwiam – gardzę.

Właśnie tak kochałam Warszawę: namiętnie i nieoryginalnie. Któregoś dnia obudziłam się zadurzona w mieście, chociaż trudno byłoby w zasadzie wyjaśnić powody mojego zachwytu. Potem przez rok lub dwa jeździłam do stolicy chociaż raz w miesiącu, żeby przejść się po Starówce lub którymś z ogrodów. Czasem, jeśli zjawiałam się tam o odpowiedniej porze, wpadałam do małego muzeum w kamienicy na rogu placu Krasińskich i Długiej, aby zobaczyć pamiątki z Po-

wstania Warszawskiego i spotkać jego uczestników. W antykwariatach kupowałam druki okupacyjne, które potem ekspozycjonowałam w swoim pokoju jak bezcenne relikwie. Każdy z tych rytuałów wydawał mi się wtajemniczeniem w sekrety miasta, był jak potajemne zaręczyny. Regularnie odwiedzałam też kwaterę „Zośka” na Powązkach Wojskowych. Zachowywałam się jak wdowa po pochowanych tam chłopcach, trochę może jak moja własna babcia, która, kiedy zmarł dziadek, przy lada okazji zawoziła na cmentarz kwiaty i znicze, usuwała z grobowca opadłe liście gestem tak czułym jak ten, kiedy kobieta, znalazłszy swój włos na ramieniu ukochanego, zdejmuje go jako dowód ich wzajemnej, intymnej przynależności.

Moja Warszawa była pięknym i tragicznym widmem, stanowiła coś na kształt wielkiego cmentarza pełnego pomników i miejsc po grobach. Rozciągała się pomiędzy Placem Bankowym a Łazienkami, Wisłą a Powązkami, bo rzadko kiedy zapuszczałam się w inne rejony. Było to miasto zmyślane, oświetlone blaskiem dawnego męstwa, pełne drzew, pałaców i oswojonych wiewiórek, które brały orzechy prosto z dłoni. To oczywiście nie była prawdziwa Warszawa, a jedynie wytwór mojej wyobraźni, naiwnej i szlachetnej, bo taką właśnie wypada mieć, kiedy ma się kilkanaście lat.

Warszawa już wtedy posiadała cechy, które odkryłam w niej później i była wyjątkowo zabieganym miastem, ale gonitwa jej mieszkańców odbywała się innymi ścieżkami niż te, którymi chodziłam ja. Nasze drogi – moje i warszawiaków – praktycznie się nie krzyżowały. Mówiliśmy do siebie, ale nie

rozumieliśmy się, nawet jeśli dochodziło między nami do wymiany zdań. Chodziliśmy obok siebie, ale jakby w dwóch różnych wymiarach, celebrowaliśmy inne widoki, mijaliśmy inne budynki, mimo że widniały na nich te same adresy.

Ile razy potem, po latach, przyjeżdżałam do stolicy, szukałam śladów dawnego uczucia, ale zniknęło bezpowrotnie pod warstwami późniejszych doświadczeń. Zaledwie dziesięć lat później nie potrafiłabym już wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu, który czułam jako nastolatka, wysiadając na dworcu, tuż przed zanurzeniem w miasto. Wtedy jednak, kiedy w ciepły dzień lipcowy na przełomie tysiącleci siedziałam nad trasą W-Z i cieszyłam się ze zdanego egzaminu, Warszawa wydawała mi się szlachetna i pociągająca jak nigdy wcześniej.

Tymczasem rozstanie było już postanowione. Chciałam studiować, doskonalić się, a nie robić karierę w strukturach centralnych – więc musiało paść na Kraków. Taka była również opinia rodziny. Do stolicy przyjechałam jedynie po wyniki i po to, żeby nacieszyć się nią po raz ostatni.

Jeszcze tego dnia rano nie byłam pewna, czy na drzwiach instytutu znajdę swoje nazwisko. Egzamin, do którego przystąpiłam kilka dni wcześniej, bynajmniej nie należał do takich, z których wychodzi się w spokoju. Wpadłam na niego spóźniona, prosto z podróży. W obszernym, ale mrocznym pokoju z widokiem na ścianę kościoła Świętego Krzyża, pokoju, który prawdopodobnie zwykle pełnił funkcję kameralnej sali wykładowej, siedzieli chudy adiunkt w wieku lat na oko trzydziestu pięciu, przedsiębiorcza pani profesor w wieku lat

sześćdziesięciu i dobroduszny staruszek, który zapewne dorabiał wykładami do emerytury. Tak dobrany zespół spotyka się na egzaminie chyba w każdym instytucie w Polsce, a pomnożony – na każdej radzie instytutu i radzie wydziału. Dobroduszny król-senior, kostyczna królowa i pokorny następca tronu, budulec każdego dworu i polski uniwersytet w pigułce. Siedzieli i patrzyli na mnie, zdyszana, nieforemną nastolatkę ze Śląska, jeszcze niewyklutą. Pewnie napatrzyli się w życiu na wielu podobnych kandydatów, przerażonych lub zbyt pewnych siebie młodzianków u progu dorosłości. Dzisiaj już wiem, co myślą ludzie uniwersytetu na widok maturzysty. Od razu widać, kto przyszedł onieśmielony, kto za wszelką cenę będzie chciał się wybić, a kto brak wiedzy nadrabia przymilnością lub arogancją. Bywają studenci, którzy są całkowicie czytelni dla nauczycieli, i tacy, którzy niosą w sobie jakąś intelektualną obietnicę. Wykłada się zwykle dla tych ostatnich i, gdybym kiedykolwiek zasiadła w komisji egzaminacyjnej, poszukiwałabym takich słuchaczy.

Wtedy byłam jednak po drugiej stronie i świat uczelni był dla mnie nieprzenikniony. Sama ciągle nie potrafiłam się określić. Chwilami byłam całkowicie wyzuta z ekspresji, czasem nadekspresyjna, jakbym nie do końca panowała nad sobą, a moja powłoka zewnętrzna jeszcze się nie zdecydowała, jak ma wyglądać, zachowywać się i kim właściwie chce być: kanciastym chłopcem czy delikatną dziewczyną, dzieckiem czy dorosłym. Musiało się pewnie wydawać, że raczej chłopcem i raczej dzieckiem – i gdybym była wówczas w stanie zbadać

swoje wnętrze, nic prawdopodobnie nie oddawałoby lepiej moich pragnień. Kobieta, żeby stać się w pełni kobietą, potrzebuje jeszcze zewnętrznego oka, jakiegoś mężczyzny, dla którego będzie miała odwagę się wysubtelnić: ojca lub męża, czasami kochanka. Bo stawanie się kobietą jest kwestią odwagi, to odsłonięcie się, okazanie miękkości. Jeśli jednak pozostawić podlotka samemu sobie z książkami – nie rozwinie się w pełni, zatrzyma się w pół kroku. I taka właśnie byłam: biedny chłopiec z książką w ręku.

Egzamin, oprócz kilku standardowych pytań, sprawdzających wiedzę humanistyczną, miał polegać na dyskusji na temat dzieła wybranego przez kandydata. A ponieważ trzymałam w ręce eseje Thomasa Stearnsa Eliota, komisja uznała, że ta książka będzie przedmiotem rozmowy.

– Nareszcie coś ciekawego – powiedział adiunkt.

Nie chciałam rozmawiać o Eliocie. Była to książka podróżna i początek znajomości z tym autorem. Kupiłam ją kilka dni wcześniej, bo w zbiorze znajdował się esej o księciu duńskim. Moje lektury były kapryśne i nieprzewidywalne, jak zwykle bywa w przypadku samouków, którym los nie postawił na drodze żadnego prawdziwego doradcy. Jedna książka sprowadzała drugą, a ta kolejną. Wywazałam wiele otwartych drzwi, dokonywałam fascynujących odkryć, które dla nikogo poza mną nie były ciekawe. Nie dałoby się tutaj opracować żadnego algorytmu.

– Chcę porozmawiać o „Hamlecie”.

Przez twarze komisji przemknął lekki skurcz zawodu. Szekspir nie mógł nikomu zaimponować. To była zwykła czytanka licealna, tylko trochę wychodząca poza listę podstawowych lektur, bo w szkołach przerabiano się „Romea i Julię”. Ja jednak „Hamleta” – i przez to Szekspira w ogóle – także otaczałam wtedy czcią, na jaką stać tylko nastolatka, który ma obsesję na danym punkcie. Prawie zawsze miałam przy sobie egzemplarz tej sztuki – wydanie „Znaku” z lat dziewięćdziesiątych w przekładzie Stanisława Barańczaka z błękitno-zielonkawą okładką, a w domu kilka innych wersji, w tym oryginalną, którą czasem próbowałam tłumaczyć.

– Dobrze, to zacznijmy od Szekspira. Bardzo prosimy.

Zacząłam zatem snuć refleksje o księciu, trochę nadekspresyjnym, a trochę szalonym (ponieważ istnieją przecież granice ekspresji, za którymi zaczyna się nienormalność). Sama nigdy nie chciałam wierzyć w szaleństwo Hamleta. Rzekomy obłęd księcia uważałam za próbę obrony przed rzeczywistością; obrony tak radykalnej, że nie wahał się ranić innych – na przykład niewinnej Ofelii, szczerze w nim przecież zakochanej, nawet jeśli było to uczucie trochę koniunkturalne. Więc ranił innych, sztychował z nich, byle tylko utrzymać samego siebie „w kupie”, kiedy świat wokół niego stopniowo zaczynał się rozpadać. Była to forma trzymania dystansu, bo przecież książę musiał być zdystansowany, żeby naprawdę nie zwariować – zwłaszcza na dworze takim jak duński, pełnym szpiegów, przyjaciół, którzy byli gotowi go oddać za prospekt kariery, ludzi, którymi Hamlet gardził, ponieważ był nie tylko

szlachetny, ale i nieco zarozumiały; na dworze z naiwną, rozwiązań matką i zbrodniczym stryjem u sterów. On tymczasem dopiero się wykluwał, dorastał do rządów.

Wystan Hugh Auden, którego czytałam później, zauważał, że Hamletowi brakowało wiary w Boga, a przede wszystkim – w siebie. Książę nie wiedział, kim jest i po co istnieje. Był jeszcze bezbronny jak młoda roślina, którą złamać mógł każdy silniejszy podmuch. Być może już za moment byłby gotów, żeby władać Danią, ale uniemożliwiono mu rządy. Decyzję podjęto za niego. Kierowano nim tak, że musiało dojść do katastrofy. Konflikt był nieunikniony: nawet gdyby się nie pojawił żaden Duch, Hamlet musiał się upomnieć o władzę, bo mu się należała. Z drugiej strony: czy książę mógłby kiedykolwiek stać się gotowy, żeby rządzić Danią? On, taki nadwrażliwiec, obezwładniony nadmiarem autorefleksji? Sposób, w jaki zabrał się do sprawy, te wszystkie podchody: teatr-pułapka, udawanie chorego w zależności od kierunku wiatru – już owa strategia dyskwalifikowała go jako potencjalnego władcę. Fortynbras zrobiłby to lepiej: szybciej doprowadził do konfrontacji z Klaudiuszem, zmierzył się z nim, pokonał, przejął rządy. Tu przecież nie było nad czym główkować. Fortynbras nie podglądałby stryja, jak Hamlet, z widowni teatralnej, nie snuł dziwacznych intryg z aktorami, tylko od razu ruszyłby do czynu.

Hamlet nie był nawet potencjalnym Markiem Aureliuszem, chociaż wtedy gorąco w to wierzyłam i broniłabym jego talentu do władania, gdyby ktoś z komisji go podważył.

Księżę był zdecydowanie zbyt miękki, brakowało mu natomiast chłodnego męstwa, które cechowało pisma Aurelego. Dramat Szekspira to opis ześlizgiwania się po równi pochyłej, spadania w nicość; komentarz do złej, coraz gorszej sytuacji, bo Hamlet sam widział, jak jego szanse na zwycięstwo topnieją z minuty na minutę. Jego niezgoda na zastaną sytuację, zamiast dodawać mu sił do walki, paraliżowała go. Każda decyzja, jaką podejmował, była gorsza od poprzedniej. Nie, historia duńskiego księcia to dorastanie nie tyle do władzy, ile do porażki. Następca tronu bez wątplenia był neurotykiem i nadwrażliwcem; pewnie sam Szekspir też był taki i w „Hamlecie” postawił na autoanalizę, najbardziej sobie „pozwolił”.

Hamlet był bezbronny jak młoda roślina, chociaż ćwiczonego na rycerza. Nie zadziałało już w jego przypadku średnio-wieczne wychowanie, zestaw odruchów odziedziczony po przodkach. Z drugiej strony – nie był jeszcze w pełni renesansowy, bo nie ma w nim nowożytnej elastyczności. Brakuje mu humanistycznego optymizmu. Nadpsuły go książki, zwłaszcza Montaigne, sceptyk; nauczyły go wątpić, ale jeszcze nie zmieniły do końca. Być może zrobiłyby to, gdyby księżę mógł dalej czytać w spokoju. Tymczasem on musiał dać odpowiedź natychmiast, a nie był gotowy; potrafił jedynie powtarzać to, co wyczytał u innych, chodzić po cudzych śladach. Hamlet to chłopiec z pokolenia przełomu, pozbawiony azymutów i niepotrafiący jeszcze stworzyć ich sobie sam.

Tylko że wtedy bardziej niż fiasko elsynorskiego wychowania interesowały mnie książęce uczucia.

– Eliot na przykład twierdzi, że „Hamlet” jest artystyczną klęską. Że Szekspir nie poradził sobie z materiałem, który odziedziczył po swoich poprzednikach – stawałam się trochę nadekspresyjna. Zdaje się, że machałam przyniesioną książką. – Przedtem z materiałem mocował się Thomas Kyd, a jeszcze wcześniej był Saxo Grammaticus, który zapisał tę średnio-wieczną historię w swojej kronice. Od niego zapożyczył ją Belleforest. T.S. Eliot twierdzi, że w tych wcześniejszych wersjach sprawa była prosta: książę od razu ruszał do akcji, jak należało od niego oczekiwać. Tylko że nie mógł pomścić ojca, bo Klau-diusza zwykle otaczało wiele osób, więc symulował obłąd, czekając na dogodny moment. Dopiero Szekspir wszystko skomplikował, pomieszał kwestie. W „Hamlecie” nie chodzi już wcale o zemstę, tylko o uczucie, jakąś mieszaninę pogardy, niesmaku i przerażenia, które chłopiec odczuwa w stosunku do rzeczywistości, a zwłaszcza swojej matki. Zbyt szybko wydała się za stryja. Jeśli nie była współwinna, to z pewnością głupia, może obie rzeczy naraz. Zdaniem Eliota właśnie dlatego Hamlet tak się ze sobą szarpał.

Próbowałam wyjaśnić, że Szekspir wziął na warsztat klasyczną tragedię zemsty, nieskomplikowaną historię, w której czyn stryja powinien pociągnąć za sobą reakcję bratanka, ale zrobił z niej opowieść o dziwnym niedowładzie, o przesadnej uczuciowości, z którą zmagają się niektórzy nadwrażliwcy tacy jak książę. To była opowieść o zbytnej skłonności do wpadania w zachwyty i przerażenie, o niezdrowej podatności na melancholię. Autorowi chodziło właśnie o ową chorobliwą nadwyżkę

emocji, które nie miały na czym „przysiąc”, więc osiadły na czymkolwiek, w tym wypadku – na Gertrudzie, Klaudiuszu i na zmarłym ojcu. Książę miał obsesje, ponieważ tak działał jego umysł.

– ...i to pomieszanie starej historii z uczuciami, których wcześniej nie opisywano w sztukach – mówiłam – sprawiło, że ta tragedia to coś artystycznie niewydarzonego. Nawet nie wiemy, czy Hamlet jest szalony czy nie, i czy, patrząc na niego, widzimy samego autora. Książę miota się, wyrzuca z siebie słowa, mazgai się. Ale przecież w tym tkwi atrakcyjność tej sztuki. Sam Eliot widzi, że to jest interesujące. W każdym razie bardziej niż „Koriolan”, który się Szekspirowi niby udał artystycznie.

Na tym mój występ się skończył, bo monologowałam już długo, a komisja nie miała czasu słuchać dalej. Przed drzwiami czekały dziesiątki podobnych do mnie kandydatów i każdy z nich miał komisji coś do powiedzenia. Nie zadano mi żadnych dalszych pytań. Przewodnicząca komisji podziękowała grzecznie, ale zdecydowanie.

Wyszłam z sali nieprzytomna, jak przydarzało mi się po stresujących wystąpieniach, kiedy emocje opadają i nie sposób zebrać myśli. Moje egzaminy były zakończone. Kraków stał przede mną otworem, nie było więc aż tak ważne, czy dostanę się jeszcze tutaj, na warszawską polonistykę. Zakończony egzamin był ukłonem w stronę moich fascynacji literackich z liceum, nieśmiałą przymiarką do tego, by kiedyś stać się człowiekiem pióra. Miałam bowiem takie plany – były to jednak

projekty odległe, maksymalistyczne i całkowicie nieprzemyślane, czyli takie, jakie się miewa w wieku lat kilkunastu. Na razie mogłam studiować cokolwiek. Krakowska archeologia była zaś najbardziej prestiżową zdobyczą, może nieco awanturniczą, ale odpowiednio obleganą, żeby nie budziła niczyich obiekcji.

Teraz, po kilku dniach, z poczuciem spełnienia znalazłam swoje nazwisko na drugim miejscu listy przyjętych w Warszawie, mogłam więc spokojnie siedzieć nad Trasą W-Z i wygrzewać się w letnim słońcu, ponieważ wszystko, co miałam do udowodnienia, zostało udowodnione.

Nadal wertowałam książkę Eliota, choć już z mniejszym zaangażowaniem.

W eseju o „Hamlecie” poeta twierdził, że kwestie księcia są niespójne, bo stanowią formę emocjonalnej ulgi. Uczucie ekstatyczne, trwożne – czytałam – bez obiektu lub przerastające swoje obiekty jest czymś, co znane jest każdemu wrażliwemu osobnikowi. Dorosły je ucisza, artysta je żywi swoją zdolnością do uintensywniania świata na miarę swojego wnętrza. Co jednak, jeśli nie jest się ani dorosłym, ani artystą? Co jeśli uczucia przerastają nas i pozostają niewyrażalne? Co wtedy? Wtedy może miewa się obsesje na punkcie miast lub idei, czasem ludzi – nie chciałam już tego rozważać. Miałam zajmować się czymś innym, mieszkać gdzie indziej i czytać inne książki.

Być może to normalne, że najbardziej ważne decyzje podejmujemy po omacku, nieświadomie, nie rozumiejąc konse-

kwencji; że żyjemy jak w półśnie i dopiero po pewnym czasie zaczynamy rozumieć, co właściwie się dokonało. Może nie ma nic złego w fakcie, że to cudze mniemania skłaniają nas do podejmowania najbardziej radykalnych kroków. Wchodzimy na obce ścieżki z całkowitą beztroską. Życie to łańcuch przypadków i tylko nam się wydaje, że trzymamy w rękach jego ogniwa.

Warszawa tego dnia była wyjątkowo piękna. Spóźniłam się na pociąg, potem na kolejny. Bynajmniej nie wahałam się, czule żegnałam miasto. Stolica nie chciała mnie wypuścić, a ja trwałam zawieszona pomiędzy apatią i nieprzemyślaną ruchliwością; byłam jak owad, który już wpadł do żywicy i zaraz znieruchomieje, choć wciąż być może wystarczy mu ryzykowne szarpnięcie lub dwa, aby mógł się wydostać na wolność.

Sądziłam, że szybuję wysoko, a tymczasem właśnie zaczynałam tonąć.